№ 21.

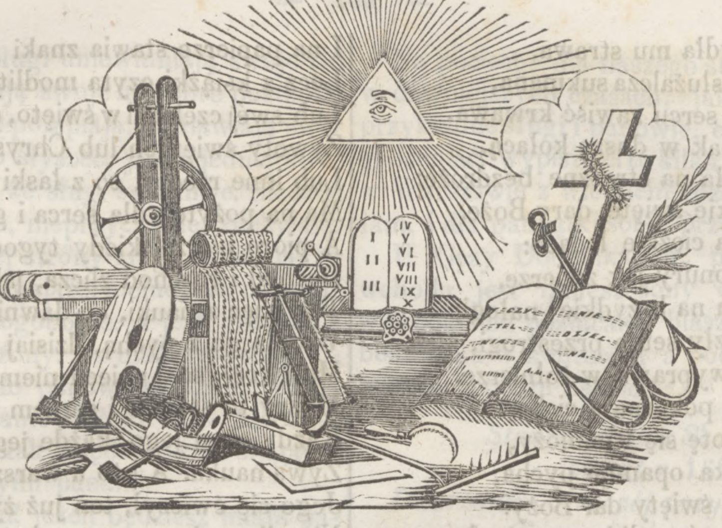
Warszawa.

Dnia 13 (25) Maja

1856.

Niedziela

2 PO ŚWIĄTKACH.



KANTOR GŁÓWNY

W DRUKARNI J. UNGER

przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391.

PRENUMERATA

rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.

Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych Warszaws. płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Boże, który wspomagasz ufających w Tobie, wysłuchaj miłościwie prośby nasze; a iż bez Ciebie nic nie może ułomność ludzka, wspomóż nas łaską Twoją, abyśmy zachowując Twoje przykazania, Tobię się i wolą i uczynkiem podobali. (Modlitwa Kościelna na niedzielę 2gą po Swiątkach).

Gawędy Starego Macieja.

I.

Maciéj, szewc prosty, cichy starowina,
Siwy, jak gołąb, zgarbiony, kulawy;
Lecz zna go dobrze calutka mieścina,
I okolica pełna jego sławy.
Kilka mil wkoło idź między ludziska,
Pytaj o kupce i wielmożne Pany;
Piąty, dziesiąty powie ich nazwiska,
Ale szewc Maciéj pewno wszystkim znany.
Bo stary Maciéj, choć w szarym kubraku,
Ale jak śniegi biała jego dusza;
I choć na kuli, prosto jednak rusza,
Bogiem a prawdą po poczciwym szlaku.
Miłość i zgoda mieszka w jego chacie,
Statek i praca, Panu Bogu miła.
I tłum chłopaków przy jego warsztacie,
I zewsząd płynie tam roboty siła.
Bo Maciej ojcem jest swojéj czeladzi,
Ucząc rzemiosła, uczy ją i prawdy;
Bo Maciej czysty i wszędy i zawdy,
Ani towarem, ni słowem nie zdradzi;
I szewc ze stanu, a prosty chłop z rodu,
Ani się stanu, ni rodu nie wstyda;
Bo wie to dobrze, że nie ród ohyda,
Nie stan, lecz życie.
Do dworu zamłodu
Wzięty na służbę, sprytny a ciekawy,
Służył paniczom; a ci śród zabawy
Dalejż mu czytać z książeczki *abece*,
I pióro w rękę raz, drugi i trzeci,
Tak sobie, żartem, wiadomo jak dzieci...
Ale nasz Maciuś przy Boskiéj opiece,
Z żartów, z zabawy, na prawdę się chwyta
Książki i pióra, i pisze, i czyta
Równo z panięty!.. Paśćby na kolana,
A wielbić Boga za dar ten cudowny,
Lecz nie! chłopczyna wpadł w sidła szatana,
I już mu dziwnie jakoś we łbie świta,
I już mu zda się, że paniętom równy.
Więc rośnie pycha i duszę mu dręczy,
I dziwne żądze bez ustanku budzi,
I buja umysł zuchwały, młodzieńczy,
Rwąc się do świata wielkiego i ludzi.
Obmierzła służba u dobrego Pana,

Ohydła praca, ohydła mu strawa,
Hańbą mu zda się służalcza sukmana,
A dniem i nocą w sercu zawiść krwawa.
A gdy złe chucie tak w duszę kołacą,
Rozpacz go wwiodła na straszne bezdroże;
Zmarniały wszystkie święte dary Boże,
I Maciuś wyrósł na ciężkie ladaco:
Hardy, uporny, ponury jak zwierzę,
Wylał się w końcu na brzydkie nałogi;
A gdy daremnie szły setne przestrogi,
Pan go nareszcie wyprawił w żołnierze.
Dusza pobożna, pokorna a cicha,
Bożemi dary w cnotę się wielmoży,
Lecz gdy ją brzydka opanuje pycha,
Na zgubę pójdzie i święty dar Boży.
Ale nasz Maciéj nie całkiem zaginął,
Napił się wody, lecz jeszcze wypłynął;
Bóg go ukarał, lecz nie cofnął dłoni,
I doświadczywszy, uratował z toni.
Lecz ciężka próba była dla chłopczyny,
I drogo spłacił swéj młodości winy.
Cwierć wieku strawił na służbie w obozie,
W ostrym rygorze, w posłuchu, a grozie,
Chciał użyć świata— widział go do syta!
Pragnął był blasku— proch mu świecił jaśnie!
A gdy go ostra szabelka powita,
Gdy go raz, drugi, i kulka zadraśnie,
I krwi gorącéj zpod serca utoczy;
Rychło inaczéj jęły patrzeć oczy,
Plac boju lepiéj wyuczył, niż księgi,
A krwawa szabla rozumniéj od pióra;
I górę wzięła poczciwa natura,
I był z Macieja człek i żołnierz tęgi.
Tak wyćwiczony w téj poczciwéj szkole,
Z nogą na kuli i z blizną na czole,
Wrócił nareszcie na rodzinną rolę,
Wrócił, lecz krewnych znalazł już w mogile.
Dawni znajomi znać nie chcą kaleki,
Znikąd pomocy i znikąd opieki,
I żyć potrzeba o swéj własnéj sile!
Więc w Imie Boże daléj do rzemiosła!
W obozie nieraz sam wywijał dratwą;
Przystał do szewca, i poszło mu łatwo,
A z dobréj woli i korzyść urosła.
Wyterminował poczciwie swe lata,
Majster mu własną dał córkę w zamęzcie,
I zapomogę, siadł więc u warsztata
I w pracy znalazł i pokój, i szczęście.
Rośnie dostatek i imie poczciwe,
Nie z ksiąg, nie z pióra—po prostu z kopyta;
Ale i książki Maciéj także czyta,
I na papierze stawia znaki krzywe.
Lecz z książki czyta modlitwy w kościele,
Lub swéj czeladzi w święto, czy w niedziele,
Żywoty świętych lub Chrystusa Pana,
Lub inne rzeczy, co z łaski Plebana
Ma na pożytek dla serca i głowy,
A pióro bierze, kiedy tygodniowy
Dochód i rozchód zlicza, jak przystało.
Tak więc z nauki, co dawniéj w bezdroże
Wiodła go z pychą, dzisiaj przy pokorze
Ma i korzyści i uciech niemało.
Mądry to starzec i sercem i głową!
Każdy czyn jego, każde jego słowo,
Żywa nauka. A kto u warsztatu
Jego się ćwiczył, ten już życie całe
Nietylko ręką na pożytek świata,
Ale i sercem dla Boga na chwałę
Pracować będzie.
Maciéj w dni świąteczne
Różne różności prawi swéj czeladzi;
Czasami śmieszne, zawsze pożyteczne,
Ku cnocie bowiem zawsze ją prowadzi,
Często ja słyszę tę jego gawędę,
Bo w jego chatce miła mi gościna;
Więc co mi powie zacny starowina,
To i ja wiernie opowiadać będę,
Na chwałę Bogu, na pożytek braci.
Słuchajcie radzi, trud mi się opłaci.

Rady matki dla córki wychodzącéj w służbę.

Jedna stara kobieta, ktora całą młodość swoję przepędziła na służbach dworskich, a była dobrze wyuczona w czytaniu i nieźle w pisaniu, spisała dla córki swéj, idącéj na służbę, różne rady i przestrogi, jak ma postępować, aby i jéj dobrze się powodziło, i aby państwo z jéj służby zadowoleni byli. Książeczka ta, dostała się przypadkiem w nasze ręce, poprawiwszy niektóre omyłki w pisaniu porobione przez tę poczciwą kobiecinę, przytaczamy z jéj książeczki, następujące wyjątki z rozdziału siódmego.

—„Aby być dobrą sługą, ażeby się służba nie przykrzyła, trzeba ciągle pamiętać na te słowa Ewangelii świętéj: *widzimy dźbło w oku bliźniego, a belki w swojem nie upatrujemy.* My sługi mamy same wad pełno, przywar nieznośnych bez liku, a panom i paniom naszym nic przeba-

czyć nie umiemy. Sługi uniewinniają swoje złe chęci, usprawiedliwiają swoje niedobre postępki; a o najmniéjszą rzecz potępiają, obmawiają swoje panie. Aż smutno słyszeć, jak z jednéj strony panie narzekają: że sługi są leniwe, niedbałe, chciwe, niewierne, nieprzychylne, zuchwałe, rozpustne, a z drugiéj strony sługi utyskują: że panie kapryśne, wymagające, nieludzkie, niesprawiedliwe, skąpe, niebogobojne. I jest prawda z jednéj i z drugiéj strony, bo mało jest sług zupełnie dobrych, i mało panów zasługujących na prawdziwe przywiązanie sług swoich. Ale dzięki Bogu są wyjątki, tak między złemi sługami, jak i między niedobrymi panami.

— Ty, moja Józiu! jeżeli będziesz miała panią przykrą, nie pobudzaj jéj do większego gniewu twoją zuchwałością, do większéj dumy twojém nieuszanowaniem, do większego skąpstwa twojém łakomstwem. Napomnienia, przestrogi, jakie pani dawać ci będzie, przyjmuj wdzięcznem sercem, bo jak rodzice dzieci swoje, tak panowie sługi swe mają święty obowiązek strofować i ku dobremu naprowadzać. Ty zaś choćbyś u pani twéj widziała wady jakie, nie powinnaś jéj tego wytykać, bo to do ciebie nie należy, bo nie sługi za panów swoich, ale panowie za sługi swoje będą kiedyś przed Bogiem odpowiadać za ich postępki.— Przecież córko moja, jest w twojéj mocy przyczynić się do poprawy pani, którąby popełniała co sprzecznego z przykazaniami świętéj Religii naszéj, do upamiętania się jéj w wadach. Jakimże to sposobem, zapytasz?— Oto serdeczną prośbą do Boga za grzeszącemi, bo modlitwa, którą za drugich odprawiamy jest bardzo skuteczną, gdyż łączy się z nią miłość chrześcijańska, którą Bóg dzieciom swoim jak najmocniéj nakazuje. I dlatego to nasz Zbawiciel nauczył ludzi pacierza, który zaczyna się od słów: *Ojcze nasz...* a nie *Ojcze mój*, i daléj w tymże pacierzu, nie każe mówić: chleba powszedniego daj *mi* dzisiaj—ale daj *nam* dzisiaj: a to dlatego, abyśmy się jedni za drugich modlili. Tenże pacierz od samego Chrystusa Pana naszego nam zostawiony, kończy się temi słowy: *i odpuść nam winy, jako i my naszym winowajcom odpuszczamy.* Więc uważ moja córko! jak wielki masz obowiązek nie mieć w sercu niechęci ku pani, którąby przeciw tobie przewiniła, ale owszem tak jéj przebacz, jak pragniesz, aby Bóg twoje winy odpuścił.

Na pociechę dla naszego stanu, iż bywały tak w dawniejszych czasach, jak w teraźniejszych, przykładne sługi i panowie, co umieli dobre sługi oceniać, wypiszę ci tu kilka nagrobków, które w Warszawie z wielkiem rozczuleniem oglądałam, i dla pamiątki sobie przepisałam.

U Xięży Dominikanów, po prawéj ręce od wchodu jest umieszczony ozdobny nagrobek, w środku na pozłacanéj blasze, wizerunek nieboszczyka w kontuszu, a pod nim tablica kamienna z takim napisem:

Stanisław Jan Skorobohaty,
zmarł r. 1681
Dworzanin, a raczéj przyjaciel nie sługa.
Tę pamiątkę pan jego
Stanisław Dąbski Biskup Płocki
wystawił r. 1683.

Na Powązkach jest grobowiec z takim napisem:

Pamiątka Teresie Trojanowskiéj
od
Zofii z X.X. Czartoryskich Ordynatowéj Zamojskiéj.
Była przy mnie lat 31.
Każdą chwilę poświęciła mnie i moim dzieciom,
Dobra, wierna, przywiązana, już nie sługą,
lecz przyjaciółką mi była.
Niech ten kamień będzie pomnikiem
wdzięczności mojéj i żalu.
Umarła 31 *marca* 1816 *roku.*

Przy kościele XX. Reformatów, pod kolumnadą z lewéj strony od wejścia, są aż dwa kamienie wmurowane, dwom wiernym sługom, w jednymże domu zasłużonym: Wypisuję ci tu oba napisy, jako najpiękniejszą pochwałę i sług i domu, w którym służyli:

ś. p. Mariannie
Żakiewiczównie,
Zeszłéj z tego świata
18 *marca* 1838 *r.*
Przeżywszy lat 80.
Pamiątkę tę, stawia
Wichliński
Za ciągłą 56 *letnią służbę*
w domu jego,
A przechodzących prosi

o wieczny odpoczynek za jéj duszę.

Kazimierzowi
Stanisżewskiemu
17 *kwietnia* 1853 *roku*
w 84 *życia swego zmarłemu,*
wiernemu słudze,
Wichliński
Za 52 *lat usług w domu jego*
kładzie tę pamiątkę,
i prosi o pobożne westchnienie
za duszę jego do Boga.

—Jak będziesz kiedy w Warszawie, moja córko odwiedź te nagrobki, pomódl się przy nichserdecznie, i proś Boga, abyś kiedy i ty na podobne sobie zasłużyła.— Dawne to, a prawdziwe przysłowie, że *na miejscu kamień porasta*. Znał to dobrze ś. p. Zacharkiewicz, który zostawił wieczny fundusz na nagrody dla sług, co najdłużéj, i bez zarzutu u jednych państwa służą. Szlachetny pan co to ustanowił, zapewne sam doznać musiał, że wierny albo niewierny, przychylny albo nieprzychylny sługa, nieraz stanowi dobry lub zły byt swego państwa, a często nawet może być powodem zdrowia lub choroby, życia lub śmierci swego pana; więc pamięć takiego dobroczyńcy jak ś. p. Zacharkiewicza, powinni zarówno błogosławić słudzy, jak i ci wszyscy, co sługi trzymają; bo fundusz jego ma to na celu: ażeby odwrócić sługi od zgubnego zwyczaju zmieniania służby, i zachęcać je do wiernego i przychylnego służenia. A czyż może być co lepszego dla panów, jak mieć dobre i przywiązane sługi? Pamiętasz zapewnie choć jeczcze byłaś niedorostkiem, gdy nam Xiądz Proboszcz w Chociszewie 1851 r. czytał z Kurjerka, jak to na Sty Józef w Warszawie, wobec urzędników i saméj wdowy po ś. p. Zacharkiewiczu, rozdawali trzy nagrody przez niego sługom wyznaczone.— Zmówiłam zaraz z tobą *Zdrowaś Maryja* za duszę tego dobroczyńcy stanu naszego; a co roku wypisywałam sobie imiona tych sług poczciwych, którym przyznawano nagrodę; i oto zostawiam dla twego zachęcenia i jako miłą sercu pamiątkę, imiona z trzech lat pierwszych.

I tak w r. 1851. Nagrodę wielką za lat 20 służby otrzymała Maryanna z Wargockich Szostakowska; nagrodę drugą za lat 15, Tekla Dejkówna;— nagrodę trzecią za lat 10, Elżbieta z Dąbrowskich Wnorowska.

W r. 1852: Piotr Alexandrowicz, Jan Grabowski i Jan Jankowski; Bibijanna Żmudzeńska, Maryanna Zalewska, Katarzyna Smoleńska.

W r. 1853: Kazimierz Plewiński, Walenty Penczyk, Maciéj Kosiński.

Jeżeli mi Bóg jeszcze życia przydłuży, to i z następnych lat zapisywać tu będę imona sług, co są prawdziwą chlubą naszego służebnego stanu, a jak mnie już nie będzie na tym świecie, to ty, moja Józiu, nie zaniedbuj tego zwyczaju, aby ci za wzór służyły imiona tych sług przykładnych.

Dlaczego Krzysztof tak myszy nie lubi?

—

Krzysztof pokorny zostawał już od lat kilkunastu w usługach pani staróściny Przyjemskiéj, przed epoką naszego opowiadania, — i dobrze mu się na téj służbie wiodło, i porosł z niéj, jak to mówią, w pierze, boć i suknia na nim porządna, i zegarek srebrny z takimże łańcuszkiem, świadczyły o dobrym jego bycie,—i jakże mu się dobrze wieść nie miało, kiedy był u pani w łaskach, i oprócz dostatnich zasług, nie jeden otrzymał upominek.

Pani staróścina, była to osoba w podeszłym już wieku,— maleńkiego wzrostu, łagodna, wyrozumiała, wesoła i dowcipna— a przytem wszystkiem, majętna;—jakkolwiek zpowodu wieku swego upadała często na siłach, i wtedy po kilka tygodni nie opuszczała łóżka, za odzyskaniem wszakże zdrowia, zaraz i humor jéj powracał i sama zaraz do zajęć domowych spieszyła, bo lubiła własnem okiem wszystkiego dojrzeć i nic uwagi jéj nie uszło. A że miłowała nadewszystko czystość i porządek, to też za każde w téj mierze zboczenie napominała, zawsze jednak ze słodyczą, ażeby nie zamarszczyć zbytnie czoła napomnionemu, bo miała to w swoim charakterze, żeby wszystko, co żyło około niéj, było wesołe i szczęśliwe: ponieważ zaś jéj Pan Bóg potomstwo zabrał, krzyż ten nosząc bez szmerania, miłość więc swą macierzyńską przelała na dalszych krewnych,— na ubogich, których hojnie wspierała, wreszcie na swych służących, którym nietylko że starała się uprzejemniać chwile w usługach

jéj spędzane, lecz nawet dalszy ich byt stosownym zapisem w testamencie zapewnić.

Wkrótce po wejściu swem w służbę do pani starościny, poznał dobrze Krzystof słabości swéj pani, i starał się dogadzaniem im względy pani pozyskać, nie dlatego wszakże, ażeby tem sprawić pani przyjemność, coby nader było chwalebnem, ale w widokach własnych korzyści.—Chociaż z natury nie był ani wesołym, ani też szczególnym odznaczał się porządkiem, to wszakże sprzątając, najmniejszego nie pozostawił pyłku na meblach lub posadzce, zawsze okazywał się słodkim i wesołym w obejściu, zwłaszcza téż wobec pani, czem zjednał sobie zupełne jéj zaufanie i przychylność — tak że wydała za niego swoję ulubioną garderobianę, wychowaną sierotę w swym domu, wyposażywszy ją odpowiednio, i sute wyprawiwszy wesele, — następnie zaś co Pan Bóg dał na świat jaką dziecinę — to Krzysztof do pani jak w dym, prosząc ją w kumy, bo wiedział, że mu pani starościna téj posługi chrześcijańskiéj nie odmówi, którą uważała za święty obowiązek,— wiedział, że i chrzciny opłaci, i matce da gościniec, czuwać będzie nad chrześniakiem, i o przyszłości jego nie zapomni.

Owoż troje już dzieci Krzysztofa pani starościna do chrztu trzymała,— i przewidywania jego sprawdziły się, gdyż nietylko gdy małemi były, o nich pamiętała, ale następnie gdy podrosły, posyłała je do szkółki swoim kosztem. Wszakże Krzysztof nie przestając na dobrodziejstwach swéj pani, hojną udzielonych dłonią, i nadużywając jéj szlachetnego zaufania, dla dogodzenia swemu łakomstwu, podkradał ją nieznacznie. Pani starościna jakkolwiek była we wszystkiem nader porządną i akuratną, nie wiedziała jednak napewno, ile miała w kantorku pieniędzy na bieżące wydatki, czemu była winą po części i słaba pamięć staruszki.—Ów kantorek z pieniędzmi był w bawialnym pokoju obok jéj sypialni; a starościna tak była zaufana w poczciwość swoich służących, że kantorka, iż się ciężko otwierał, zwykle nie zamykała. Krzysztof znał dobrze wszystkie te szczegóły, i sprzątając pokoje w porze w któréj staruszka zwykle jeszcze spoczywała, wykradał z kobiałki z kantorka pieniądze, z początku co dni kilka, i w małéj ilości,— następnie gdy mu to uchodziło bezkarnie, częściej i więcéj,—wreszcie codziennie prawie po parę brał złotych.

Po kilka razy zdawało się pani starościnie dostrzegać braku; wolała go wszakże przypisać swéj niepamięci, aniżeli którego z domowników o kradzież posądzić.— Ej, zdawało mi się—mówiła do siebie—ale ja się o tem przekonam, nietrzeba na darmo ludzi posądzać,— to grzech. Wybrała więc kilka dwuzłotówek, i przerachowawszy i naznaczywszy, położyła na wierzchu innych pieniędzy w kobiałeczce. Nazajutrz przychodzi, przelicza znaczone dwuzłotówki— trzech brakuje; — pokiwała głową staruszka, nic nie mówi, ale czegoś przeciwko zwyczajowi markotna.— „Jeszcze jedna próba "powiada w duchu. Bierze nitkę jedwabiu, przeciąga ją pod szufladę od kantorka, przymocowywa w 2ch końcach woskiem, i mówi uśmiechając się—„ja ciebie tu złapię nic dobrego". —Na drugi dzień rano, nitka była zerwana, 2ch rubli brakowało. Pani starościny łzy w oczach stanęły, kradzież bowiem była stanowczo udowodnioną; nie dwóch rubli żal jéj było, boć ona swoim służącym i po kilkanaście ich dawała w potrzebie,—ale żal jéj było tracić przekonanie o ich poczciwości i wierności, żal jéj było któregokolwiek z nich o taki występek posądzić, bo wszystkich ich lubiła, bo o każdym z nich dobre miała mniemanie.

Uczucie obowiązku wykrycia sprawcy kradzieży przemogło sprawiedliwy jéj żal, zaczęła chodzić po pokoju, rozbierając w myśli rozmaite sposoby do tego, ale się jéj jakoś nie wiodło; wtem coś zachrobotało, i myszka wybiegła z kącika;— widok jéj natchnął staruszkę nagłem postanowieniem. — W tym celu zapragnęła myszkę żywcem schwytać,— i od tego wszakże dnia rozpoczęła pani starościna prawdziwe polowanie na myszy,— a choć się jéj nie udawało, nie traciła nadziei, i póty różnych używała sposobów, aż wreszcie ułowiła myszkę w chusteczkę od nosa,— i zaraz otworzywszy ową szufladkę kantorka, zamknęła tam swoję zdobycz.

Nazajutrz około godziny 7méj zrana, o któréj Krzysztof zwykle pokoje uprzątał, pani starościna była już na nogach, i zdawała się oczekiwać jakiegoś wypadku. — Naraz słyszy krzyk Krzysztofa — *dla Boga! co to jest*?.... wpada więc do bawialnego pokoju,—a tu szufladka otwarta, a przed nią Krzysztof, cały przestraszony.—Zapewne domyślacie się, kochani czytelnicy, co się stało? — Krzysztof ufny w bezkarność dotychczasowych swych kradzieży, poprzątając po-

kój, otworzył pocichu szufladkę kantorka, i nachylił się dla wyjęcia z kobiałki kilku znów złotych; wtem uwięziona myszka wyskakując z szuflady, wpada mu za kołnierz, Krzysztof w pierwszéj chwili, nie umiejąc zdać sobie sprawy z wypadku, krzyknął; — a krzyk ten odkrył go pani starościnie jako złodzieja.

Pani starościna, nie mogła zrazu wstrzymać się od śmiechu, na widok pociesznéj fizyognomii przerażonego Krzysztofa, następnie wszakże zabolało ją serce na myśl, że człowiek, dla którego tyle uczyniła dobrego, dla którego była więcéj matką niż panią, w którym tyle pokładała zaufania, nadużywał go tak niegodnie, i okradał haniebnie dobrodziejkę swoję w własnym jéj domu. Jednakże powodując się zwykłą swą dobrocią, nie wyrzekła nawet słowa połajania, bowiem czyn jawny, na którym został Krzysztof schwytanym, był od słów wymowniejszym; ograniczyła się jedynie pani starościna na tem, że wyjąwszy z otwartéj szufladki, zapisany arkusz stemplowego papieru, i przeczytawszy z niego Krzysztofowi ustęp następujący: —„memu poczciwemu Krzysztofowi za wierne usługi, zapisuję talarów 1000“ rzekła: pozbawiłeś mię Krzysztofie pociechy, jakąbym miała, zabezpieczając ci jako wiernemu słudze, byt na stare lata, abyś nie potrzebował cudzych kątów wycierać, i naraziłeś nadto na niepotrzebny kłopot —gdyż muszę nietylko inny testament napisać— ale i o innego postarać się służącego, boć złodziei ja w domu trzymać nie mogę— idź — niech ci-Bóg mego zmartwienia nie pamięta — między nami wszystko skończyło się.— Na te słowa Krzysztof upadł jéj do nóg i błagał przebaczenia, ale napróżno.— Staruszka dotknięta do żywego taką niewdzięcznością, pozostała niewzruszoną, — i Krzysztof tegoż jeszcze dnia musiał się z domu jéj wynosić.— Tak więc stary Krzysztof dla marnego nabytku kilku lub kilkunastu złotych, a chociażby nawet i największéj summy obciążył występkiem sumienie, stracił dobrą służbę, stracił zapis, który miał mu zapewnić odpoczynek na starość, stracił wreszcie imię uczciwego człowieka, — a z niem, możność zarobkowania, gdyż wypadek ten, stawszy się głośnym, zamknął przed nim drzwi każdego porządniejszego domu, tak, iż Szymon tułając się po świecie przez długi czas bez służby, stracił i ukradzione i zaoszczędzone pieniądze, zanim dostał wreszcie miejsce stróża w jakimsiś domu.

Odtąd Krzysztof myszy nie cierpi, i widoku ich znieść nie może, — im przypisując niewłaściwie wszystkie swoje nieszczęścia, — jakby mu to myszy źle czynić kazały. Oj! nie myszy w tem wina, że Krzysztof dziś w biedzie, w wypadku tym widocznym jest raczéj palec Boży, który go dotknął dla powstrzymania w złem; Bóg to dopuścił na niego rozmaite cierpienia, aby go naprowadzić na dobrą drogę, z któréj był zboczył.

O Rosie.

Weselna była pora majowa,
Na odpust szedłem do Czerniakowa;
Szły obok matek strojne dziewoje,
I szły za niemi młodzieńców roje.
Niechaj weseli idą szczęśliwie;
Ja szedłem miedzą, po żytniéj niwie,
I smutny byłem;

(*Brodziński*).

Wtem młody jakiś człowiek idący za mną, chcąc zapewne dla uprzyjemnienia drogi wejść w gawędkę, tak się do mnie odezwał.

—Nie wiem Panie, czy tą drogą nie będzie za mokro, dalej niema ścieżki, a dziś na łąkach, nie wiedzieć dlaczego obfita wyszła rosa.

— Jakto nie wiedzieć dlaczego, wszakże noc była pogodna i piękna?

—Tak panie—noce często bywają piękne, ale rzadko z ziemi wyjdzie tyle rosy, — nawet dziś mgły nad rankiem nie było.

—Mój przyjacielu, —niepotrzeba mgły, aby rosa była obfita, a przytem mylisz się, sądząc, że ziemia rosę z siebie wysącza.— Rosa, podobnie jak deszcz, śnieg, pochodzi z pary wodnéj, któréj taka ogromna ilość zawieszoną jest w powietrzu.

—Przepraszam pana, gdyby tak być miało, to dlaczegożby rosa nie mogła się pojawić wednie tak jak deszcz?

—Słuszna uwaga, ale w tym razie nieprawdziwa.— W naturze, jak i między ludźmi bywa, często jedna przyczyna bardzo odmienne sprawia skutki, a to stosownie do różnych okoliczności; taż sama para wodna skraplać się może w różnych kształtach, według towarzyszących warunków. Wiele ludzi pracuje, aby po-

znać tę niewyczerpaną rozmaitość zjawisk na Bożym świecie.

—Ciekawe to muszą być rzeczy.

—A jeżeli chcesz, mój przyjacielu, to ci wytłumaczę powstawanie rosy; ja ucząc ciebie, a ty ucząc się, użyjemy po chrześcijańsku czasu, jaki nam pozostaje, nim do kościołka dojdziemy.

Oto tak: każde ciało wyrzuca z siebie ciepło na wszystkie strony, a więc i odbierać go musi od ciał innych otaczających, które także swe ciepło wysyłają; jeżeli ciało więcéj wydaje, jak od innych bierze, to wówczas stygnie, i przeciwnie gdy więcéj przyjmuje jak wyrzuca to się ogrzewa.

Toż samo stosuje się do ziemi; i wednie ziemia się ogrzewa, bo od słońca dostaje daleko więcéj ciepła, aniżeli go utraca; a za to nocą wysyłając swe ciepło w przestrzeń otaczającą, wiele go traci, a z przestrzeni odbiera bardzo mało; z tego powodu strona ziemi, która słońca nie widzi, znacznie się oziębia, i noce letnie bywają czasem bardzo chłodne.

—Takim sposobem to wszystkie noce letnie powinny być jednakowo zimne— a tymczasem są niekiedy tak ciepłe, że człowiek ochłodzić się nie może po dniu skwarnym.

—Nie uważałeś, mój przyjacielu— że takie ciepłe i duszne noce wtedy tylko bywają, gdy niebo jest pokryte chmurami— które właśnie przeszkadzają wychodzeniu ciepła z ziemi w przestrzeń, wtedy więc i powietrze nie może się tak ostudzać.

Ale przejdźmy do rosy.— Przypomniéj sobie, co to się dzieje, gdy w lecie napełnimy butelkę wodą chłodną z głębokiéj studni.

—Na szkle pokazują się krople wody.

—Ale skąd one pochodzą? przez szkło woda nie przechodzi.

—Zapewne osadza się z powietrza.

—Rzeczywiście z powietrza.— Im cieplejsze powietrze, tém więcéj może w sobie rozpuścić par wodnych, szybko zaś studzone przez zimną butelkę, oddaje części pary, któréj przy zmniejszonem cieple utrzymać nie może, i stądto na ciałach chłodnych skraplają się pary wodne w powietrzu zawarte. Toż samo dzieje się z rosą— po dniach skwarnych mocno rozgrzane powietrze rozpuszcza w sobie znaczną ilość wody, któréj następnie w czasie chłodnych letnich nocy utrzymać nie może—tak, że część osadza na ciałach zimniejszych.

—Według tego proszę pana —to rosa podobnie jak deszcz powinna wszystkie ciała jednakowo pokrywać— a ja wiem z doświadczenia, bo jestem ogrodniczkiem z Wilanowa, i codzień ją obserwuję, że na niektórych przedmiotach wielkie są jéj perły, a na innych prawie ani śladu.

—Tak być musi— bo nie wszystkie ciała na ziemi jednakowo stygną przez wyrzucanie ciepła; jedne jak np. trawy, liście iglaste, kosmate, drobny piasek mocniéj stygną, inne znów jak np. drzewa o wielkich i gładkich liściach, metale, powolnie się oziębiają, i dlatego na nich mała bywa rosa.— Jak to mądrze urządzone, właśnie rosa najobficiéj powstaje na ciałach, które wiele potrzebują wody do swego utrzymania — i wieleby roślin szybko poginęło od skwaru i posuchy, gdyby nie orzeźwiały się temi kropelkami rosy.

—Oj prawda panie,— my to dobrze wiemy— jak po obfitéj rosie, kwiaty i rośliny, wszystko się odżywia. — Szkoda tylko, że nie każdéj nocy rosa się pokazuje—jak tylko wiatr mocny, rosy wcale nie ma.

—Wiatr dlatego przeszkadza— że miesza powietrze i spędza właśnie warstwę powietrza ochłodzoną od ziemi, a któraby mogła rosę osadzić.— Jednak i to zależy od kierunku wiatru — nie każdy działa jednakowo. — Suche wiatry wschodnie psują rosę, ale zachodnie i południowe, jako napędzające wilgotne powietrze, niewiele przeszkadzają tworzeniu się rosy.— U was w Wilanowie, nie możecie narzekać, tam musi być bardzo często obfita rosa;— macie blisko Wisłę, w ogrodzie łachę wiślaną, z których dniem wiele wody unosić się musi; ale w okolicach bezwodnych, piasczystych bardzo rzadko mocna bywa rosa— a są takie ogromne pustynie w najgorętszych stronach świata, gdzie rosy nie znają.

—Lepszy to zawsze dla roślin ciepły deszcz, jak chłodna rosa. Niedaleko stąd w jednym ogrodzie, w czasie tych pogodnych a chłodnych nocy wiosennych, poprzemarzały brzoskwinie zawcześnie poodwijane.

—Na taki przypadek, starzy ogrodnicy umieją sobie radzić. Trzeba delikatnie krzewy poprzykrywać.

—Tak panie—jeden lub dwa, toby łatwo było, ale nie cały rząd, jak u nas— skądby wziąć tyle pokrycia na taką wielką przestrzeń.

—Nie pozwoliłeś mi skończyć, nie wysłuchałeś wszystkiego. Ja wiem, że ogrodu płótnem

przykryć niepodobna— ale na to jest inne pokrycie.— Przygotowuje się wcześnie w różnych stronach ogrodu kupy nawozu, i podczas wiosennych bardzo chłodnych nocy, zapala tak, aby dym gęsty unoszony powiewem wiatru rozszedł się po całym ogrodzie, i pokrył go jakby dachem.

—Ale czy taki dym dla puszczających roślin nie jest czasem szkodliwy?

O to nie ma się co lękać— taki dym przez kilka nocy, nie może wpłynąć na ich bujność,— przecież i rosa, zawsze zawiera w sobie wiele pewnego gazu, co się tworzy przy paleniu ciał, tak zwanego *kwasu węglanego*, a nie jest dla roślin szkodliwą.— Co inszego dla ludzi, rosa napojona tym gazem, daje wodę trochę szczypiącą wzrok, a rosa spadająca w okolicach błot, bagien, oparzelisk, jako zawierająca w sobie różne cząstki gnijące i zarażające powietrze, może działać szkodliwie na nas, i stąd zapewne poszło przysłowie: „nim słońce zejdzie, rosa oczy wyje".— Tak gawędząc, weszliśmy do kruchty kościołka, w chwili, gdy właśnie kapłan w kaplicy mszę świętą rozpoczynał.

Wieś Adamów.

Piękna osada, złożona z kilkudziesiąt chat porządnie zbudowanych i ocienionych drzewami, w urodzajnéj niwie, zwała się Adamowem. Od niepamiętnych lat dziedziczyła ją jedna zamożna rodzina, a w niéj każdy syn pierworodny zwał się Adamem.—Przez lat wiele dziedzice téj wioski wraz z kmieciami różnéj doznawali doli i niedoli: ale że mieli Boga w sercu, że kochali włościan swoich, że czuwali nad ich dobrem, i w każdem nieszczęściu wspierali radą i pomocą: to też kmiecie kochali i miłowali serdecznie *swoje państwo*, jak zwali dziedzica z całą rodziną.

Ostatni dziedzic miał tylko jedynego syna, i tego nazwał Adamem. Chociaż żył po Bogu, modlił się szczerze razem z włościanami w kościołku Adamowa, czuwał nad ich dobrem, przyszły na niego ciężkie klęski, którym nie mógł podołać. Jednego roku ogień spalił mu gumna, i tylko poświęcenie i odwaga włościan ocaliły bydło, owce i konie: drugiego roku przyszedł pomorek, z nieurodzajem w polu. W takiem utrapieniu, nie mogąc już znaleźć ratunku, musiał dawne gniazdo swéj rodziny sprzedać. I znalazł się w sąsiedztwie skąpiec i sknera, który oddawna czatował na tę osadę piękną, a korzystając z nieszczęścia cudzego, kupił wieś Adamów.

Dawny dziedzic wraz z synem w cichości płakali, gdy im przyszło pożegnać tę siedzibę, gdzie się urodził, gdzie na smentarzu spoczywały popioły przodków, gdy nowy, z uśmiechem radości, już się rozgościł w starym a obszernym dworze Adamowa.

Na podwórzu, dał się naraz słyszeć gwar przytłumiony: była to gromada wioski, która smutno postępowała; skąpiec wyszedł na ganek rad, że powitanie kmieci odbierze, ale gromada zwróciła się do oficyny, gdzie stary dziedzić z synem pakowali resztę rzeczy, i na fury ładowali. Przyszli poczciwi kmiotkowie pożegnać dawnego pana, i na jego widok rzewnie zapłakali. Dziedzic złączył łzy swoje ze łzami gromady, młody Adaś zanosił się od płaczu.— Po chwili wystąpili starsi ze wsi, i skłoniwszy się rzekli do młodzieńca.

—Adasiu! paniczu nasz! —Wy dawnych dziedziców dziecko, nie opuśćcie nas, bo my was nie puściewa. My nie chcemy po was być sierotami. Zakupiliśmy u nowego dziedzica osobny dworek i pobudynki z gruntami, na starém wójtostwie uprawili pola, i zagospodarowali jak należy, a obrodziła z woli Bożéj, żeć i stodoły nie pomieszczą i niejeden bróg stanie. Otóż wielmożni panowie nie pogardźcie poczciwą pracą naszą, wyście nas żywili, ratowali w złéj doli, my dzisiaj z serca dajemy.

A nie dokończywszy mowy swojéj, bo łzy przerwały słowa— tylko się kłaniali i całowali ręce tak dziedzica dawnego jak i młodego Adasia.

Nie mogli odmówić tak serdecznéj prośbie poczciwéj gromady, i gdy rano troskali się, pod jakim dachem złożą głowy, tegoż wieczora spoczęli we własnych progach z błogosławieństwem zacnych kmiotków Adamowa.

W drukarni J. Unger. — Wolno drukować.— Warszawa d. 9 (21) Maja 1856 r. — Starszy cenzor *F. Sobieszczański*.